

*Na prośbę członków Rodziny, dla których odręczne pismo było trudno czytelne przepisałem kserokopię listu Mamy Walerii p.v. Ostrowskiej do mojego brata Jurka (oryginał tego listu znajduje się w jego posiadaniu). Zachowałem oryginalną pisownię wprowadzając jedynie od siebie podział na akapity.*

## **Kochany Jurku**

Zgodnie z Twoją prośbą postaram się odtworzyć dzieje twego dzieciństwa.

Twój ojciec przed wojną powołany został do wojska w sierpniu 1939 r. Epizod nad morzem z kamieniem odnosić należy do lipca 1939 r. było to wyjątkowo pogodne i gorące lato. Ja jak zwykle czytałam na plaży i nagle Włodek się gdzieś zawieruszył, poszłam go szukać i patrząc idą Sucheccy wzdłuż plaży i prowadzą Włodka.

Pikniku w Gdyni nad rzeką nie przypominam sobie rzeki przecież w Gdyni nie ma.

Epizody z udziałem Twego ojca miały miejsce również w lipcu/sierpniu 1939 r. Święto Morza, które sobie przypominasz również odbyło się w czerwcu (na św. Piotra i Pawła) 1939 r. Dalsze epizody są zgodne – odwiedzenie ojca w koszarach, ochronka, etc, budowa placu sportowego... Odbiornik radiowy stał zwykle na etażerze, może chwilowo na parapecie.

W sierpniu 1939 r. jakaś ogólna psychoza, myślę że inspirowana przez Niemców, zmuszała ludzi do wysyłki wszystkich rzeczy ruchomych i ja też ku memu nieszczęściu zrobiłam, zapakowałam wszystko w dwie wielkie paki i zaniósłam na pocztę – oczywiście wszystko poszło stratą. Po powrocie nie miałam czym Was przykryć. W dniu 31/8 wyjechałam z Wami do Bydgoszczy – chciałam tam przeczekać kilka dni i później udać się do ciotki W/ojca pod Krośniewicami (nie pamiętam nazwy wsi) i tam przeczekać wojnę.

Tymczasem 1/9 przed południem poszłam do miasta i nagle patrząc leci samolot i coś z niego wylatuje, potem huk, więc domyśliłam się, że to bomby – przestraszona w najwyższym stopniu poleciałam na Jasną zabrałam Was i walizkę w kształcie pudła do kapeluszy i wybrałam się na dworzec – poprosiłam ojca (dopisek mój: chodzi o ojca mojej Mamy: Władysława Ostrowskiego – umarł w 1945 r.) żeby mi towarzyszył. Na dworcu stał pociąg towarowy załadowany uciekinierami z miejscowości nadgranicznych, wsiadłam i poprosiłam ojca żeby mi towarzyszył choćby do Torunia i biedne ojczysko to zrobiło. Przed samym Toruniem był nalot – pociąg podskakiwał na torach.

Ojciec potem, jak mi opowiadał wracał pieszo do Bydgoszczy, bo pociągów już nie było – myślałam, że po drodze złapię jakiś pociąg w stronę Kutna, lecz nic z tego i tak zdałam się na los i jechaliśmy tym pociągiem aż do końca t.j. do Klewania pod Równem (Wołyń), gdzie nas wyrzucono. Jechaliśmy chyba ze 2 dni, po drodze mijając stacje wiejskie, wszystkie zbombardowane – utkwiał mi w pamięci obraz krowy rozerwanej.

Najgorsze było to, że nic nie zabrałam do jedzenia w tym przerażeniu i byłam zdana na łaskę kobiet w wagonie, które nas żywiły, a pieniędzy miałam dosyć (około 1000 zł) co przed wojną było sporą sumą. Mój dyrektor Rummel wypłacił nam wszystkim 3-miesięczną pensję i stąd ta suma.

Tam w Klewaniu przyjął nas kierownik agencji pocztowej. Była jeszcze ze mną kobieta z dwojgiem dzieci i swoją siostrą – zamieszkałyśmy razem – oczywiście spało się na podłodze na słomie.

Gdy Rosjanie wkroczyli na te tereny, Ty zaraz wpakowałeś się do nich na ciężarówkę – podwieźli Cię kawałek i wypuścili – ogólnie byli b. uprzejmi.

Niemcy i tu nie dawali nam spokoju – prawie codziennie był nalot – kryliśmy się w buraki. Codziennie chodziłam na stację kolejową dowiadywać się, czy pojedzie jeszcze jakiś pociąg na zachód – poinformowano mnie, że 1/X. Największy kłopot był z jedzeniem – udało mi się kupić mąki żytniej z plewami i z tego dobry człowiek, Ukrainiec, upiekł mi chleby, do tego jadło się pomidory – przez cały miesiąc nie jedliśmy obiadu – ratował nas jeszcze miód, który udało mi się jeszcze kupić. Ukrainiec był dlatego tak uprzejmy, że rozmawiałam z nim trochę po angielsku, gdyż przez kilka lat przebywał w USA.

Wreszcie nadszedł upragniony 1 paźdz. Już z rana poszliśmy na dworzec. Coś w południe nadjechał z zachodu długi pociąg osobowy a w nim sami oficerowie polscy – przebiegłam wzdłuż pociągu pytając czy któryś z nich chciałby przekazać jakąś wiadomość dla rodziny – zgłosił się tylko jeden oficer prosząc o zawiadomienie siostry w Gdyni – byłam tam potem, lecz mieszkanie zamknięte na 4 spusty, nikt się nie zjawił.

Mniej więcej ok. godz. 15-tej nadszedł pociąg ze wschodu – pociąg osobowy. Wsiedliśmy i szczęśliwa byłam, że jadę w świat bliski. Miałam ze sobą tylko ze dwa ogromne chleby i słoje miodu. Tym biedacy żyliście, czasem ktoś trochę czarnej kawy dał popić.

Jechaliśmy tak całą noc i pół dnia – widzę, że zbliżamy się do jakiejś stacji, bo pociąg zwalniał. Nagle patrzę, że bokiem pociągu idzie kobiecina wiejska z koszem, pociąg jeszcze nie zahamował, a ja wyskoczyłam i łap za kosz – miała w nim masło, złapałam oselkę chyba 2 kg zapłaciłam 10,- zł co wówczas było sporą sumą (masło 1 kg kosztowało wówczas chyba 1,50 zł) i szczęśliwa dobiegłam do pociągu, który się już zatrzymał. Była to stacja Rożyszcze, dosyć duża wieś, była nawet apteka – tu staliśmy chyba 3 dni. Spało się na ławkach w pociągu. Tu udało mi się kupić wełniany koc od kolejarzy za 20 zł, byłam szczęśliwa, że mogłam Was przykryć.

Jednak następnego dnia stwierdziłam, że Włodek gorączkuje – pobiegłam do wsi i w aptece dostałam jakieś tabletki przeciwgorączkowe. Gorączka opadła – pamiętam, że zdobyłam litr mleka i trochę kakao i przed pociągiem chciałam rozpaścić ognisko, żeby ugotować mleko dla Was, jednak nie udało mi się, drzewo było mokre i nie chciało się rozpaścić.

Trzeciego dnia kolejarz kazał wszystkim wysiąść z pociągu. Coś mi powiedziało żeby nie wysiąść – kazałam Wam przykucnąć pod oknem – jakiś kolejarz zaglądał przez okna od zewnątrz i nie zauważył nas. Po chwili pociąg ruszył. W ostatniej chwili udało się jeszcze wdostać się do pociągu kobiecie z siostrą i dwojgiem dzieci. Starsza może 8-letnia dziewczynka była cała w gipsie – coś miała z kręgosłupem.

No i pojechaliśmy – w nocy spokojnie spaliśmy, rano budzimy się i pociąg stał. Dowiedziałyśmy się, że to Kowel – gdy tak siedziałyśmy podszedł do pociągu jakiś żołnierz rosyjski i gdy zobaczył mnie z dziećmi poszedł i przyniósł miseczkę gorącego krupniku – była to od miesiąca pierwsza gorąca zupa – podzieliłam się jeszcze z kobietą z chorą dziewczynką – dał nam też suchary.

Na dworcu w Kowlu krzyk i płacz - wszystko uciekinierzy, kobiety z dziećmi, poszłyśmy z tą panią siostrą tej mężatki do biura stacji i tu dowiedziałyśmy się że o 14-tej jedzie pociąg na Sarny, czyli wracaliśmy się w kierunku północno-wschodnim, gdyż most w Brześciu n/Bugiem był wysadzony.

O 15-tej nadszedł pociąg osobowy, lecz tak przepełniony i tak pchali się mężczyźni (jak to Polacy) że byliby nas stratowali. W tym otworzył ktoś okno w wagonie i jakieś żydki radzili żeby podać pakunki i dzieci przez okno, a samym się precisnąć, wszędzie bywają i dobrzy ludzie – żydzi okazali nam b. dużo serca i o północy dojechaliśmy do Sarn.

Tu można było dostać gorącej herbaty – więc dzieciaczki rozgrzały się; lecz już o godz. chyba 2-giej miał pójść pociąg na Łuniniec – był to pociąg towarowy –

pamiętam, że szła jakaś grupa oficerów sowieckich i główny z nich kazał dzieci moje zanieść do tego pociągu, pytali mnie się skąd jestem, gdy powiedziałam, że z Gdyni mówił, że będą tam te. W każdym razie z rana byliśmy w Łunińcu, lecz tu trzeba było biegiem do następnego pociągu osobowego, który szedł na Baranowicze. Przy pośpiechu zgubiłam nawet jeden but z prawie zupełnie nowego obuwia.

Coś w południe byliśmy w Baranowiczach. Była tu jeszcze czynna izba dla matki z dzieckiem. Był to dla mnie cud, gdyż mogłam Was rozebrać, porządnie umyć, nakarmić herbatą gorącą i z tym co miałam i położyć do łóżeczek. Pociąg o północy miał pójść dalej do Białegostoku. Poszłam do miasta z tą panną, żeby ewtl. coś do jedzenia kupić – wszystko było zamknięte na cztery spusty i wróciłyśmy z niczym. O północy dalej do Białegostoku dokąd przybyliśmy coś w południe. Stąd pociągi nie szły dalej, bo mosty zerwane, trzeba było wynająć furmankę, któryby dowiozła do Narwii

Na wóz wpakowało się wszystko t.zn. kobieta z dwojgiem dzieci, moje dzieci i znalazła się jeszcze jakaś kobieta z dzieckiem, dla mnie i dla tej panny nie starczało już miejsca (choć ja opłaciłam wóz) doszliśmy pieszo do Narwii (około 25 km; przyp mój). i przewieziono nas łódką na drugą stronę – doszliśmy do wsi (około 1,5 km; przyp mój), ważny węzeł kolejowy Łapy – wozu z dziećmi jeszcze nie było, lecz za jakieś 20 minut przywlekli się. Przystąpiły do kobiety tej wsi oferując nocleg.

Do mnie przystąpiła starsza żydówka żeby pójść do niej, oczywiście zrobiłam to, ta kobieta z chorą dziewczynką mówi, że do żydów nie pójdzie – gorzko to potem żałowała. Żydówka zajęła się nami jak matka, dała litr mleka, jajko, mąkę – zrobiłam dzieciom lanych kluseczek i położyłam do łóżka. Sama zasiadłam do gorącej kolacji składającej się z gorącej zupy z płuczek, tak smacznej, że zdawało mi się, że jem coś cudownego, do tego tłuczone ziemniaki, potem herbata z sokiem malinowym i coś słodkiego. Mąż żydówki, patriarcha z brodą, doszło jeszcze dwóch młodszych żydków i zaczęliśmy politykować. Dosyć późno położyłam się obok dzieci.

O 5-tej z rana miał pójść pociąg dalej. Żydówka obiecała mnie obudzić. I tak zrobiła. Gdy pytałam ją ile jestem winna za tyle dobroci, pytała skromnie czy 5,- zł nie jest za dużo, z chęcią dałam jej to. Kobięcina odprowadziła na dworzec, dźwigając n/paczki i pożegnała kiwaniem ręki. Jechaliśmy z pół godziny i znów nas wyrzucają w szczyrym polu, była tu granica rosyjsko-polska. Żołnierz rosyjski grzebał w walizce, lecz nie miałam ciekawego dla niego.

Siedzimy tak w szczyrym polu, jest mróz i ostry mroźny wiatr, dzieci zaczynają płakać. Widzę z dala jakieś gospodarstwo. Podeszłam tam z panną prosząc o mleko i furmankę. Dowiedziałam się, że musimy dostać się do Małkinii. Chłop podjechał – jak zwykle wszystko się pchało na wóz a ja obok chłopca szłam pieszo – może jakieś 5-6 km.

Dworzec i całe miasteczko potłuczone. Siedzimy w ruinach dworca i mam ten litr surowego mleka dla dzieci. Poszłam szukać aby je zagotować. Zaplecze dworca było całe – zapukałam do drzwi, otworzył mi żołnierz niemiecki, prosiłam o zagotowanie mleka dla dzieci kazał mi wyjść i zaczekać przed domem, podał później przegotowane mleko i znowu dzieci miały gorący napój. Nad wieczorem pociągiem towarowym zajechaliśmy do Ostrołęki, tu dworzec był cały, pełen żołdactwa niemieckiego. Gdy powiedziałam, że jadę do Bydgoszczy zaczął jeden z nich na mnie krzyczeć, że takie okrucieństwa popełniliśmy na Niemcach. Znowu o północy szedł pociąg osobowy do Szczytna (Ortelsburg) już w Prusach Wschodnich.

Gdy wsiadałyśmy do pociągu jakiś żołdak chciał nas wyrzucić z wagonu, drugi mitygował go mówiąc: „Lass doch das sind Frauen mit kleinen kinder” i jakoś dojechaliśmy do tego Ortelsburgu.

Tu zaprowadzono nas do (urywek nieczytelny; przyp mój) na słomianych barłogach z kozami mogliśmy się rozłożyć. Dawano nam jeść, (chleb z

wątrobianką i czarną kawą) zaznaczano przy tym jacy to oni dobrzy. Pociąg miał dalej pójść na Olsztyn następnego dnia. Mogliśmy tu wymienić złotówki na marki. Przy tej okazji kupiłam sobie lichey cienki płaszcz bo byłam w kostiumie a był tęgi dosyć mróz, oczywiście musiał być kapelusz (dziś z tego się śmieje). Nazajutrz w południe władowano nas do pociągu na Olsztyn. Pociąg miał właśnie ruszyć gdy weszło 3 czarnych drabów i kobiecie siedzącej naprzeciwko mnie zabrali 14- letniego chłopca. Do dziś nie mogę zapomnieć krzyku tej biednej matki.

W Olsztynie byliśmy nad wieczorem. Tu odebrano nam walizki i nigdy już więcej nie ujrzałam jej – tak nas okradano. Zaprowadzono nas do jakiejś szkoły z piętrowymi łózkami. Ja szybko pobiegłam na miast i zdobyłam 1 kg winogron, jak się cieszyłam. Byliście, choć tak mali, dobrymi dziećmi, nigdy nie krzyczeliście jak inne, przecież nieraz zostawiałam Was same, żeby coś zdobyć.

Następnego dnia znowu popędzono nas na dworzec nie oddawszy nam n/waliz i zajechaliśmy do Ławy (Dtsch Bylan) tu znowu zanocowaliśmy w jakiejś szkole, lecz ja 5 -tej z rana obudziłam was, poszłam z wami na dworzec (odległego o jakieś 2 km) tam kupiłam bilety do Gdańska. W przedziale siedziała z nami Niemiecka siostra DRK- opowiedziałam jej nie zwróceniu nam waliz – obiecała zbadać sprawę, napisała później, że nie udało jej się nic załatwić i tak wróciliśmy gołymi rękami, tak jak staliśmy.

Dalszy ciąg nastąpi!

4/II 1982 r.

Zdaje się, że stanęłam na przyjeździe do Gdyni. Po drodze mijaliśmy Orłowo, po niemiecku „Adlershorst”- serce mnie zabolalo, potem już Gdynia – (Gotenhafen) zupełnie wymarłe, było to w samo południe, po drodze mijali nas pyszni, wysocy żołdacy hitlerowscy. Niemcy wybierali takich roslých dryblasów na obsadzenie granicznych miast, żeby nam pokazać swoją żywotność.

W Witominie zastałam w mieszkaniu rodzinę polską, wyrzuconą z Orłowa, ja z Wami zamieszkałam w kuchni, żeby być bliżej ogniska, bo trzeba było coś gotować, a przy tym było ciepło, jakiś młody sąsiad narąbał mi drzewa, wstawiłam do kuchni tapczan, bo rodzina na szczęście wyprowadziła się – pierzynkę pożyczyla mi teściowa i spaliśmy w trójkę na tapczanie (był b. szeroki). Miałam jeszcze trochę pieniędzy i do stycznia nie poszłam do pracy.

W pierwszych dniach grudnia 1939 r. pojechaliśmy do Torunia odwiedzić Twojego ojca, który był tam w niewoli – przybyliśmy do Torunia nad wieczorem i trzeba było gdzieś zanoćować. Zapukałam do pierwszego lepszego mieszkania, otworzyła mi jakaś pani w moim wieku – opowiedziałam jej wszystko i prosiłam, żeby mnie przyjęła na noc, oczywiście zrobiła to, częstując jeszcze herbatą.

Następnego dnia musiałam uzyskać zezwolenie w komendzie wojsk., żeby móc zobaczyć się z mężem. Rozmawialiśmy z nim oczywiście przez ogrodzenie, może najwyżej 20 minut.

W styczniu 1940 r. trzeba było oglądać się za jakąś pracą, bo kończyły się pieniądze. Poszłam do Arbeitsamtu i ponieważ stenografowałam po niemiecku przekazano mnie do :Marinehafenbauamt” czyli Urząd Budowy Portu. Tu pozostałam 3 miesiące, zażądano żebym przyjęła „volksdeutsch” ponieważ nie spełniłam to żądanie wymówiono mi posadę i siedziałam bez pracy w domu.

Aha, zapomniałam jeszcze powiedzieć, że gdy jeszcze pracowałam zaczęłam starać się o jakieś małe mieszkanko w samej Gdyni, gdyż z Witomina nie było żadnej lokomocji – musiałam kilka kilometrów (dokładniej około 6 km.w jedną stronę; przyp. mój) drałować do portu (przy dworcu morskim) skąd motorówką przewożono nas na Oksywie, gdzie było to biuro.

Dzięki temu, że pracowałam i znałam dobrze język niemiecki, udało mi się dostać to mieszkanko na Zakopiańskiej. Podobno mieszkała tam do wojny jakaś Rumunka, żona polskiego oficera marynarki, która wyjechała do Rumunii. I tam jak już zapewne pamiętasz przemieszkaliśmy całą wojnę.

W maju 1940 r. wrócił nagle Wasz ojciec z niewoli, był w Warszawie i mówił, że zwolnili go z niewoli bo był ranny – chociaż ja nigdy nie widziałam jakiegokolwiek blizny na ciele jego – jak się wydostał, to jeszcze do dziś dla mnie zagadką. W każdym razie poszłam z nim do Arbeitsamtu i prosiłam o jakąś pracę jako malarza dla niego, bo uważałam, że maluje się zawsze wewnątrz, więc nie będzie marzył np. w porcie. Zażądano papiery, że był malarzem, lecz powiedziałam, że w zawierusze ogólnej zagubiłam wszystkie dokumenty. Przyjęto go więc, oczywiście płacąc jako Polakowi, marne grosze.

Co do mnie od maja 1940 r. zaczęłam pracować przy likwidacji banków polskich (Abwicklung ehem. Polnischer Banken), gdzie pracowali sami Polacy, byli bankowcy, oczywiście po 1-2 urzędników. No i jakoś to życie szło biednie. Jako Polacy otrzymaliśmy kartki na mięso: dla dorosłego 200 g dla dziecka 100 g czyli razem 600 g tygodniowo. Rano zwykle gotowałam żurek zasmażany słoninką. Jednak już w końcu w jesieni 1943 r. zaczęły się bombardowania.

Pamiętam, byłam akurat w biurze i nagle alarm, zeszliśmy do piwnic i tam przeczekaliśmy nalot. Po zakończeniu wyszłam na ulicę, lecz zamiast iść do domu

(myślałam, że tam pod lasem nic się nie stanie) poszłam oglądać wyrządzone szkody. W gruzach był szpital dziecięcy przy Pl. Kaszubskim, kilka domów zburzonych było na 10 Lutego – wreszcie poszłam do domu i widzę Was przerażonych i osmolonych w drzwiach domu. Na pewno to pamiętasz, dom naprzeciwko już nie istniał, grzebiąc wszystkich mieszkańców.

W roku 1944 naloty były coraz częstsze – na Wielkanoc 10 kwietnia 1944 był znowu ciężki nalot, a ja już byłam w ciężkich bólach porodowych. Poszliśmy jeszcze do lasu, ledwo wróciłam do domu i zaczęłam rodzić w nocy, w trakcie tej czynności, może o jakiejś 2-giej w nocy znowu był nalot.

Odtąd przynajmniej 2 razy w tyg. były naloty. Brałam Janka w ramiona, a Wy trzymaliście mnie z boku i pędziliśmy do bunkru. Gdy tylko weszliśmy już wołano „Allen Pollacken raus”. Ja jednak nie wyszłam – to była istna męka. Kiedyś w kościele też był alarm i znowu pędziliśmy do bunkru, z którego Polakom też kazano wyjść – ja jednak nie wychodziłam.

Zbliżał się rok 1945. Zbliżał się front sowiecki – Ty przeżyłeś to w Bydgoszczy, my w Gdyni mieliśmy istne piekło. Ostatnie miesiące mieszkaliśmy w piwnicy, a gdy już było b. źle szliśmy do bunkru, naprzeciw n/domu w górze był wydrążony bunkier o bardzo niskim pułapie i pełno ludzi, nie mogłam tam wytrzymać, myślałam, że się uduszę, poprosiłam W/ojca, żeby pójść do innego bunkra, było to może o 2-giej w nocy, ale jeszcze było jak na dniu od łun, a kule gwizdały wokoło nas. Tak w czwórkę szliśmy wśród gwizdających kul, ja głośno śpiewałam: „kto się w opiekę podda Panu swemu” i rzeczywiście Bóg ochronił nas.

Doszliśmy do jakiegoś bunkra naprzeciw kościoła Jezuitów. Tam był dosyć wysoki bunkier, było zimno, lecz wołałam raczej to. Tam przebyliśmy jeszcze jedną noc i jakoś strzelanina się uciszyła – wyszliśmy – do domu mieliśmy niedaleko. Przed drzwiami domu stał jakiś oficer sowiecki, zdaje mi się żyd, porozmawialiśmy z nim, pokazaliśmy nasze „ken?karten” i weszliśmy do domu. Tu znowu zostałam okradziona, miałam tylko to co na sobie.

Potem odwiedzali nas żołnierze sowieccy, smażyłam im słoninę, robiłam kawę, byli b. grzeczni, jednak gdy raz byłam sama z Jankiem na ręku – wszedł rusek i żądał „czasu” (zegarek). Ja się ich jakoś nie bałam, krzyczałam na niego że jeśli cokolwiek mi zabierze to pójde do komandira i naskarzę, widocznie zatrwożył się i wyszedł.

W kwietniu wyprowadziliśmy się na nowe mieszkanie na Strzelców – no a potem Ty przyjechałeś, chyba w połowie maja i dalsze perypetie są Ci chyba już znane. Na tym kończę moją odyseę.